

Wyprowadzić lud ze śródmieścia

Jednym z haseł komunistycznej propagandy, pod którymi powojenna władza ustanawiała pół wieku temu nowe porządki na sowiecką modłę, była obietnica "wprowadzenia ludu do śródmieścia". Jeśli ktoś teraz, dziesięć lat po zakończeniu epoki komunizmu w Polsce, walczy o to by ten lud w śródmieściu pozostawić i obiecuje mu to, ten dopuszcza się oszustwa lub daje świadectwo głupoty i nie wiadomo co z dwójga lepsze. Do śródmieścia muszą bowiem wkroczyć majątni, a nawet bardzo majątni inwestorzy, którzy za ciężkie pieniądze podniosą je ze stanu zniszczenia, do którego półwieczne przemieszkiwanie w nim ludu doprowadziło.

Śródmieście jest w tym przypadku pojęciem na wpół symbolicznym, o znaczeniu nie tylko urbanistycznym, lecz również społeczno-kulturowym. Niekiedy chodzi dosłownie o stare, zabytkowe centra miast, do których komunistyczne władze kierowały biedotę, osadzając ją przy pomocy tzw. szczególnego trybu najmu w cudzych przeważnie, prywatnych lub odebranych prywatnym właścicielom kamienicach. Jednym z najbardziej ponurych i wymownych przykładów takiego gospodarowania zasobami oraz jego skutków są losy krakowskiej, niegdyś w większości żydowskiej, dzielnicy Kazimierz. Opustoszała po wymordowaniu przez nazistów jej prawowitych właścicieli i mieszkańców, była przez komunistów wykorzystywana jako bezpłatna rezerwa mieszkaniowa, zasiedlana biedotą i hołotą. W krótkim czasie element ów doprowadził do kompletnego zdewastowania całej urbanistycznej przestrzeni i poszczególnych jej obiektów, które przetrwały władzę hitlerowskich zbrodniarzy. Przez dziesięciolecia do tej historycznej, zabytkowej, założonej w XIV wieku przez Kazimierza Wielkiego dzielnicy ludzie rozsądni i dbali o życie i zdrowie starali się nie zaglądać. Dopiero od niedawna rozpoczęto systematyczną renowację zrujnowanych budynków i ich otoczenia, dzięki zasobnym inwestorom udało się już niektóre fragmenty zabudowy doprowadzić do wyglądu cieszącego oko. Na razie trwa jednak jeszcze stan przejściowy, bo wspaniale odnowione i zagospodarowane budowle sąsiadują wciąż z zapadającymi się ruderami, a klasa średnia miesza się z menelstwem. Jest jednak jasne, że to sytuacja tymczasowa i kiedyś cały krakowski Kazimierz odzyska blask, a lumpiarstwo z niego zniknie. Na szczęście i oby na zawsze.

Niestety, nie wszędzie dzieje się podobnie. Ponadto komunistyczne władze wprowadzały lud nie tylko do śródmieść, lecz także do pałaców, dworów i willi. Znaczna część tych obiektów owego społecznego eksperymentu nie przetrwała, zamieniona przez nasłanych lokatorów w ruderę lub wręcz kupę gruzów. Centra niegdysiejszej kultury zostały zdewastowane i zdegradowane, szczególnie te położone poza dużymi ośrodkami miejskimi i zwłaszcza odebrane właścicielom o niesłusznym pochodzeniu nie tylko klasowym, ale i narodowym, o czym świadczą dzieje dóbr poniemieckich na ziemiach przyłączonych do Polski po wojnie. Lud rozprawiał się z nimi o wiele szybciej i surowiej, czując szczególne przyzwolenie władz zainteresowanych eliminacją obiektów obcej sobie kultury, ale najwidoczniej mając także samemu potrzebę zacierania śladów jej obecności.

Dziś widać jak na dłoni, że wprowadzanie ludu do śródmieścia czy pałaców nie tylko nie rozwiązuje trwale żadnego problemu, lecz tworzy nowe, z którymi trzeba się borykać po latach, gdy część śródmieść i pałaców, a zwłaszcza dworów, znikła już bezpowrotnie z polskiego krajobrazu, a część wymaga ogromnych nakładów, by podnieść je z ruin.

Trudność stanowi jednak nie tylko brak tych środków, lecz również pokonywanie przeszkód stawianych przez obrońców ludu, usiłujących nie dopuścić do jego rzekomej krzywdy, czyli odebrania mu prawa do dalszej półdarmowej eksploatacji zasobów należących do kogoś innego. W wielu starszych dzielnicach polskich miast do dzisiaj stoją budynki, na których charakterystyczna linia, usytuowana powyżej pierwszej kondygnacji, kontrastowo oddziela odnowione czy choćby tylko świeżo pomalowane lub otynkowane ściany usytuowanych tam lokali użytkowych, od położonych wyżej mieszkań, zajmowanych przez lokatorów z tzw. kwaterunku. Gdzieniedzie, gdy owej powierzchni użytkowej jest sporo, a budynek ma atrakcyjną lokalizację, pieniędzy czerpanych od kilku lat z ich wynajmu po cenie rynkowej starczyło już do odnowienia reszty, zajmowanej nadal przez lokatorów płacących zaniżone administracyjnie czynsze. Przeważnie jednak nie jest tak dobrze, a gdy w budynku nie ma w ogóle powierzchni użytkowej do komercyjnego wynajęcia, jest całkiem źle. Stan techniczny urządzeń i instalacji technicznych, eksploatowanych od kilkudziesięciu lat bez remontów, często bywa katastrofalny, a nawet zagrażający życiu.

Punkt widzenia obrońców ludu, jak wszystkich pragnących masowego uszczęśliwiania na cudzy koszt i powszechnej radości za darmo, ma oczywiście znacznie większą siłę propagandowego oddziaływania i pozyskiwania zwolenników, niż opinia dająca się łatwo zdeprecjonować i wyszydzić jako broniąca interesów "kapitalistów", "kamieniczników", "posiadaczy" i "obszarników". A przecież chodzi o coś innego, o powstrzymanie dalszej dewastacji zasobów nie tylko materialnych, lecz również mających znaczną wartość kulturową, a więc cywilizacyjnego dorobku, należącego do wszystkich. Jeśli pospółstwo wprowadza się na salony i do pałaców, by dzielić je prowizorycznymi przepierzeniami na mniejsze pomieszczenia, palić w piecach parkietami i boazeriami lub dobudowywać komórki z materiału pochodzącego z rozbieranych elementów architektonicznych czy choćby tylko beczynnie dopuszczać do zapadania się ścian i dachów, to nie świadczy przecież bynajmniej o cywilizacyjnym postępie, lecz o regresie. Rozwój cywilizacyjny jest wtedy, gdy przybywa rezydencji, pałaców, salonów i willi, a już istniejące są stale odnawiane i coraz lepiej utrzymane. Ideałem, do którego należy dążyć, jest oczywiście, by każda rodzina miała swój własny domek z ogródkiem. Trzeba jednak szczególnie nacisk położyć na słowie własny. Znaczy: nie cudzy. Mieszkańcy cudzych domów na ogół zresztą nie pielęgnują ogródków, a często i samej mieszkań.

Niektórzy przedstawiciele stowarzyszeń lokatorskich czy organizacji mieszkaniowych twierdzą, że tylko kilka procent Polaków stać na własne lokum. Proponują więc wprost lub pośrednio by reszta zamieszkała w cudzym lub za cudze. Lecz czy można zbudować domy dla 90 % potrzebujących za pieniądze pozostałych kilku procent, którzy już swoje potrzeby mieszkaniowe zaspokoili?

Nie da się, oczywiście, uniknąć pytania o to, dokądże ten lud ze śródmieścia miałby zostać zatem wyprowadzony. Odpowiedź jest prosta i naturalna: na przedmieścia. To określenie również na wpół tylko metaforyczne. W pewnej części chodzi bowiem dosłownie o peryferie wielkich miast, zabudowane betonowymi blokowiskami z wielkiej płyty, tymi współczesnymi, wielopiętrowymi czworakami, bez żadnej urbanistycznej i architektonicznej wartości, nad dewastowaniem których nie trzeba będzie ubolewać. Czego, jak czego, ale marnych mieszkań dla biedoty w Polsce nie brakuje, tworzą całe, wielkie dzielnice. Na razie wszakże są jeszcze pozajmowane przez dotychczasowych lokatorów, osadzonych w nich z pseudospółdzielczego przydziału w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Część z nich już pobudowała sobie w ostatnich latach nowe, lepsze siedziby i przeniosła się do nich, inni są w trakcie lub dopiero się do tego przymierzają.

Najbogatsi kupują i będą kupować pałace, dwory i wille, odnawiać je i przywracać do świetności. Architektoniczne i kulturowe centra będą odżywać.

O ile, oczywiście, lud nie zostanie w nich utrzymany na siłę administracyjnymi decyzjami wymuszonymi przez jego obrońców.

Janusz A. Majcherek